Nr. 11. Warszawa, dnia 28 Lutego (12 Marca) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie...... „ 2 kop. 50
kwartalnie...... „ 90	
miesięcznie..... „ 30	w Austryi rocznie 9 guldenów
	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydień co Środa.

Skład Główny dla p.p. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

ANACHORECI.

Nie każdemu wolno zamieszkać tam gdzie chce, gdzieby sobie życzył, warunki bytu przywiązują ludzi do miejsca, jak roślinę do gruntu z którego wyrasta. Położenie jeograficzne, stosunki komunikacyjne, handlowe, przemysłowe, rolnicze, instytucyje i zakłady naukowe, drożyzna i taniość, dowóz i odwóz danych produktów, wszystko to bezwątpienia wpływa na charakter mieszkańców pewnej okolicy, wyrabia w nich swoiste oddziaływanie na wpływy zewnętrzne—i modyfikuje czyny wszelkie.—Tam gdzie sieć kolei żelaznych, gdzie bielejące smugi dróg bitych przecinają żyzną glebę, gdzie wre życie handlowe, gdzie pług raźno kraje skibę ojczystą—tam i ludziom weselej świątecznej i lepiej. Za dobrobytem idzie oświata, za oświatą moralność i pewne poczucie osobistej obywatelskiej godności. Bo człowiek ma dziwną naturę. Gdy on słabego i chwiejnego charakteru, pomyślność wbija go w dumę — uczy przeceniać siebie a pogardzać drugimi —gdy przeciwnie brzemie zawodów przygniecie—słaby duch karleje, płaszczy się, ugina i podli. Nic smutniejszego nad podobny upadek i poniżenie w nieszczęściu! Jakże mało wielkich a hardych umysłów, co w nędzy i trudzie, śród piekła wrogich a zawistnych knowań, w tytanowej walce o byt potrafią zachować czystą nieskażoną cnotę—co niby posąg grecki — niby statua zmarłych genijuszów, stoją niewzruszone a wielkie. Po nad ich głowami huczą gromy, obok nich dziki huragan, zawodzi szatański hymn zatraty, a oni blade marmurowe czoło unoszą w górę i szepczą zbolałemi usty.... Odwagi! wytrwania!.... burza ucichnie, doczekamy się chwil lepszych —zgotujemy te chwile męstwem naszym, godnością naszą, pracą naszą!

Ogniska cywilizacyi i postępu, jakiemi obecnie są mniejsze i większe miasta, mają stokroć lepsze i mniej uciążliwsze warunki, aniżeli prowincyja. — Tam łatwiej czynić—łatwiej się uczyć, dogodniej korzystać z tego wszystkiego co dostarcza wiedza, co produkuje myśl człowiecza w bezustannej pracy swojej. Tam serce nie ziębnie od lodów obojętności, bratnie duchy pojmują się i szukają nawzajem, tam giną szpetne koteryje, niweluje się społeczność do jednego—do *ludzkiego* poziomu. Człowiek obywatel jest ideałem do jakiego dążą razem i to pragnienie jedności celów — jest najpiękniejszym kwiatem społecznych opinii. Ale nie myślcie mieszkańcy miast większych, że wszędzie jest tak samo, jak pośród murów siedziby waszej. Wy dążąc za godłem któreście ukochali, patrząc w krainę wymarzonej przyszłości, nie znacie oddalonych krańców, gdzie mieszkają *Anachoreci*.

Dziwni to ludzie.... dzieci stare, wychowanice przekonań co idą w grób — co zamieszkują cmentarne rumowiska. W ich głowach posępnie, ciemno a głucho, w ich piersi głos dnia dzisiejszego rozebrzmiewa echem rozbitego dzwonu, dźwiękiem pordzewiałej, odstrojonej lutni.

Jak puszczyk na zwaliskach, w noc głuchą wzywają błądzące upiory—i myślą że w towarzystwie umarłych, balsam życia odnajdą dla siebie. Są to poblakłe gwiazdy, sciemniałe słońca, które umiały błyszczeć tylko dla siebie. Nie ogrzewały ciepłem nikogo, bo pożyczanym blaskiem świeciły...... Jednak nie możemy ich ani potępić ani opuścić... bo w skutek zbiegu okoliczności ich życie było naszym życiem. ich losy.... naszym prostym istnieniem. Głóg i tarnina mają prawo bytu, jeśli dosyć urodzajnego pola rolnik posiada—gdy gruntu zbraknie—krzak pada pod ciosem karczującej motyki. Jednak nawet dziką płonkę można nazwać wielce pożyteczną, gdy się w nią gałązkę szlachetnego drzewa zaszczepi—w społeczeństwie gałązką taką jest ideja, która wniknąwszy w ogół, zespoliwszy się z nim, jakby na skinienie rószczki czarodziejskiej przeistacza jego naturę.

Możemy sobie powinszować że dzisiaj nie żyjemy już bez pewnych celów, bez zamysłów

ŚLADY ŻYCIA.

XI.

Tyle życia, ile.... w czynie

W towarzystwie muzycznym z powodu rocznicy urodzin Szopena, urządzono wieczór muzykalny, którego program składał się z samych dzieł tego arcymistrza. Słyszeliśmy koncert, sonatę wiolonczelową, fortepianową, rondo czterOręczne, balladę, poloneza, mazurki, etc. Wszystko wykonano z ogólnym zadowolnieniem, oprócz może sonaty i ronda, które z natury już swojej, z trudnością niezmierną mogą być zgodnie przez dwu artystów wykonane.

Dzieła Szopena, tego najfantastyczniejszego i najbardziej subiektywnego kompozytora, wymagają od wykonawców prawie niczym nieograniczonego uczucia—entuzyjazmu i niejako natchnienia: a ponieważ dwie osoby jednakowo czuć, jednakowo fantazyjować nie są w stanie, zatem dzieło przy wykonaniu traci nieraz całą swą doniosłość. Zresztą najwięcej wewnętrznej wartości posiadają utwory Szopena, pisane na sam fortepijan, w nich zawarł on całą swoję potęgę duchową, w nich najswobodniej malował wszelkie subtelne odcienia swych wrażliwych uczuć. Nerwowy do najwyższego stopnia Szopen bynajmniej niebył reflekcyjnym, on tworząc nierozważał niemierzył—ale szedł za popędem chwilowym, czuł, improwizował. Szkoda jednakże że komponując w ten sposób, podlegał prawom ciążącym na każdym śmiertelniku, prawom ograniczającym trwanie duchowego zachwytu, i niedozwalającym zbyt długo szybować w podobłocznych sferach. Dla tego też najczęściej większe utwory jego, niedorównywają pod względem formy mniejszym owym maleńkim mazurkom, owym łzawym nokturnom, lub namiętnym polonezom. Te właśnie kompozycyje najbardziej zachwycały tłumnie na koncercie zgromadzoną publiczność; i nie jedno serce przy ich dźwiękach zabiło — i nie jedna łza zabłysła w oku i nie jedno westchnienie wzleciało z piersi na cześć mistrza, który z piosnek pól naszych, uplótł wieniec swych nieśmiertelnych pieśni, z uczuć swego plemienia stworzył typ, ku podziwieniu obcych i wystawił wieczysty pomnik muzyce naszej.. Niestety!... my niezdobyliśmy się jeszcze dla niego na pomnik.

* * *

Na uroczystości Szopena mieliśmy także i odczyt poświęcony przeważnie biografii i ocenie dzieł mistrza. Odczyt pod względem stylistycznym opracowany nieźle, wypowiedziany był o tyle o ile znośnie, raził jednak w paru miejscach poglądami, których się dzisiaj nie wybacza nawet artystom, do których prelegent p. Kleczyński należy. Wierzymy, że Szopen miał wzięcie się szlachetne, że miał delikatną rękę, że sympatycznym obejściem się a nawet zewnętrzną powierzchownością i toaletą mógł się wyróżniać

na jutro. Nie jedna wada, nie jeden błąd fatalny, nie jedna szczerba już się poprawiły lub poprawiają.

Rozniecona żądza oświaty, pamięć o sobie samych — zajęcie się gorące kwestyjami pożytecznemi oto pierwsze kroki. Czemuż jednak najlepsze usiłowania, nieraz spełzną na niczym? Czemuż pomysły szlachetne zrodzone w pełnej zapału i poświęcenia piersi, jak szara nić przejmą ściegami tkaninę społeczną i zaznaczą ślad tylko dla dłoni chętnej, co może kiedyś podejmie się robotę wykończyć?

Odpowiedź łatwa — pracowników niewielu, ogół zbyt dotąd biernie się zachowuje. —niema w nim chętnych propagatorów, niemasz ludzi dobrej a silnej woli. Pośród anachoretów, pośród ludzi zamieszkujących prowincyją — a przedewszystkim wioski i mniejsze miasteczka—bierność króluje. Tam żyją i myślą po dawnemu. Myśleć po dawnemu czy to jest wadą? Zastanówmy się nad tym wyrażeniem. Gdyby ludzie uparcie trwający w przesądach, również uparcie konserwowali te pierwiastki życia przeszłego, które były jego wielkością, zasługą i cnotą—zgoda..... konserwatyzm uczciwy, skrzętne chowanie tego co drogim co świętym —jest względnie pożyteczne. Ale tam o cnocie o obywatelskich obowiązkach niemasz mowy. Część tych co przyzwyczaili się żyć cudzym kosztem i cudzą pracą — część owych pawiów i papug społecznych, pod barwistemi pióry ukrywa nędzne egoistyczne usposobienie—poziomą duszę—zimne serce. Egoizm i przywileje kasty—oto ich dewiza. Oni gotowi raczej przezwać białe czarnym, niż zgodzić się na porządek, wręcz ich osobistym dążnościom przeciwny. Straciwszy dawniej zajmowaną pozycyją — jak tonący brzytwy, chwytają się ostateczności aby choć wegetować na tym miejscu gdzie kiedyś poprzednicy żyli sił pełnią -- ale żyli *warunkowo* zasłużeni. I zdaje się rycerzom onym, że jako bohater „nieboskiej komedyi" winni legnąć na gruzach... Z czym jednak zapytujemy?—chyba z czapką poliszynela, z pejczem smagającym grzbiet trenowanej szkapy lub pajacowskim kaftanikiem dżokieja. Innych godeł obecnie dopatrzeć nie możemy. Czwórką białonogich kasztanków, angielskim siodełkiem—wychudłą parodyją folbluta, księżycem i strusiemi piórami nie zdobywa się stanowiska w świecie—znaczenia w kraju. Czyż tylko uprzywilejowanym wolno myśleć o przyszłości, czy arena pracy ma być salonem gdzie się zbiera *krema* towarzystwa paplającą żargonem? Czy marnowanie kapitałów nie tylko do jednostek lecz do krajowego bogactwa należących, czy nieudolność w obec warunków dzisiejszych, zacofane pojęcia, niesumienność w dotrzymywaniu obowiązków, smutne bankructwa wypływające z niedołęztwa i wrodzonej opieszałości—duma, zarozumiałość, owe siostry idyjotyzmu, mają dawać w dłonie—pierwszeństwa wieniec na wawrzynu skronie?—Bajki!.. Inne dzisiaj świtają zorze, odmienne promienią błyski. Ci którzy wybiegli naprzód, ci w których krew i soki żywotne wszczepił się pierwiastek myśli nowej, pogardzają przesądem szukają nowych dróg — odnajdują te drogi. Dla czegoż tak niewielu podróżnych na tym gościńcu, dla czegóż smutnych doświadczeń próby, nie zdołały otworzyć oczu tym co je dawno otworzyć i przejrzeć powinni?

Pójdźcie za nami w dalekie zakątki prowincyi zobaczcie co się tam dzieje. Zielony stolik, butelka węgrzyna — konwenanse, cudzoziemczyzna, — jeszcze do dziś dnia jak długa nieuleczona choroba, nęka anachoretów postępu. Niektórzy pośród nich czują całą czczość podobnego życia, radziby się wyrwać z fatalnego koła gdzie prawdziwy paraliż tknął współtowarzyszów, współobywateli — reszta nie myśli — nie czuje. Upadliśmy wołają z westchnieniem, minął czas kiedy do kupca korzennego mówiło się per ty, lub przez grzeczność tytułowało *„acanem"*. Fatalna mięszanina towarzystwa, gdzie się tylko obrócisz napotykasz jakieś nieznane figury—a Bóg wie kto je rodzi czym się pieczętują — jak tam pisze o nich Niesiecki, Paprocki i tak dalej. Należy tędy zamykać się w *swoim kółku*, bo inaczej godność obywatelska, fatalnie szwankować może. Tak mawiają w Hrubieszowskim — tak utrzymują nawet w Lubelskim—a spotęgowanie owych naszych pojęć reprezentuje godnie stary Kraków i Galicyja!

Ludzie owi byliby śmieszni, gdyby nie wyglądali smutnie, byliby obojętni dla ogółu, gdyby ich losy z losami ogółu nie wiązały się ściśle. Jakże postąpić w okolicznościach podobnych?

Pozostawałoby do wyboru trzy rzeczy:

1. Albo uważać Anachoretów za straconych, za osobniki bez przyszłości, i dozwolić im wegetować, póki sam czas nie spędzi ich z zajmowanych stanowisk.

2. Albo wyszukać w ich gronie ludzi co są coś warci, i za pośrednictwem tychże, systematycznie przerabiać co można.

3. Albo za pomocą prasy wywrzeć silne parcie opinii publicznej—wybrać ludzi pełnych energii—ludzi powagi i znaczenia, aby takowi solidarnie złączeni, zmusili niejako licznych i niezdecydowanych anachoretów do wspólnego pochodu naprzód.

Należy użyć wszystkich trzech środków na raz jeden.—Kto stracony niech ginie, reparować dom zapadający się nie sposób, elektryzować trupa nie ma sensu.

Zgnilizna zostanie zgnilizną—element umysłowy elementem.

Część inteligentna, część pracująca naszej społeczności, musi wziąć na barki nowe brzemię, a brzemieniem tym będzie czynne oddziaływanie i pomaganie tym wszystkim, co sami sobie radzić nie umieją. U nas nie dosyć jest podać projekt, trzeba go jeszcze samemu wprowadzić w życie, popierać słowem, czynem i kieszenią. Że mówić i pisać potrafimy—są na to dowody—że ludzi niezmordowanie czynnych mamy trochę, także fakt pewny. Co się tyczy kapitałów, więzną one w kieskach wielu, co lękają się wypuścić grosz w obieg, dla braku gwarancyi, czy pieniądz ów nie przepadnie—już to przez niesumienność, już przez marnotrawstwo, już nareszcie przez nieudolność wypożyczających.

Zdaje się, iż siła i żywotność klasy średniej, inaczej mówiąc, mieszkańcy miast zdobędą wkrótce głos stanowczy w kwestyjach ogół obchodzących. Są bowiem w miastach ludzie wszelkich warstw społecznych, praca wspólna, która ich łączy, może niedługo ustali nowy miernik zasługi, nową zasadę oceniania pojedyńczych jednostek.

Kto żąda czynu, ten według czynów sądzi o drugich.

Pracować zaś pożytecznie dla kraju każdy może kiedy chce, a jedna chyba niechęć lub nieudolność stają mu na przeszkodzie.

Pogardzamy niechętnemi, nieudolnych wspierać trzeba. Prowincyja, dzięki piśmiennictwu chwili obecnej, odbiera pewien zapas duchowego pokarmu i można powiedzieć, że pragnie go coraz więcej.

Duch postępu, prąd zdrowych logicznych tendencyj, niby krople majowego deszczu pa-

---

od dawnych i dzisiejszych, rzeczywistych i przemycanych kapłanów sztuki, — ale dla czegoż te przymioty nazywać *„arystokratycznemi."* Dla czegoż lubować się kilkakrotnie w tym Bóg wie na co pochwyconym wyrazie? Dobre wychowanie i przyzwoitość nie są monopolem. Pan K. powinien był o tym pamiętać tak przez wzgląd na audytoryjum jak i na samego siebie.

* * *

Od d. 1 Lipca r. b. Gazecie Warszawskiej i Gazecie Polskiej przybywa nowy współzawodnik. Będzie to pismo codzienne polityczne i społeczne p. t. *Wiek*, wydawane i redagowane przez p. Henryka Lewestama. Nie przesądzając przyszłości przypuszczamy, że okoliczność ta wpłynie na zaprowadzenie pewnych ulepszeń w naszych czasopismach politycznych. Gazeta *Wiek* ma pomieszczać między innemi—artykuły wstępne, poświęcone kwestyjom i sprawom społecznym. Cena ma być taka sama jak Gazety Polskiej i Warszawskiej.

* * *

Znany na polu archeologii krajowej Dr Stanisław Krzyżanowski pracuje obecnie nad Biblijografią archeologii polskiej, prosi przeto wszystkich archeologów o nadesłanie o sobie wiadomości biograficznych i spisu dzieł przez siebie wydanych, pod adresem: *Kraków* plac W W Świętych L. 148. W Krakowie nakładem tegoż D-ra Krzyżanowskiego wyszedł Rocznik dla archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich: rok 1870, poświęcony pamięci Mikołaja Kopernika. Sprzedaje się we wszystkich księgarniach warszawskich.

* * *

Żywszy ruch umysłowy, jaki od pewnego czasu powstał w naszym mieście, zaczyna się już udzielać najdalszym krańcom Królestwa. W tej chwili dochodzi nas prawdziwa, choć ogólna i może opóźniona wieść, że w Sandomierzu odbywają się publiczne na dochód dobroczynny prelekcyje. Miewa je wychowaniec b. Szkoły głównej, magister prawa i administracyi, asesor przy tamecznym sądzie poprawczym p. Czyński. Przedmioty do wykładów są podobno czerpane z dziedziny psychologii kryminalnej i nauk społecznych. Bliższych krytycznych szczegółów nie posiadamy, a radzibyśmy je mieć dla poznania i należytego (wedle wagi i stosunkowego wpływu) określenia, ku ogólnemu pożytkowi tej nowej inicyjatywy ruchu.

* * *

W numerze 9-ym *Izraelity*, znajdujemy artykuł „Krzywoprzysięstwo u Żydów" stanowiący zarazem: *parę słów odpowiedzi „Opiekunowi domowemu"*.

Izraelita zaznaczając na wstępie szczytną dewizę: „Nienawiść szyki łamie" uważa za stosowne z bezwzględnie wyższego stanowiska zapatrywać się na niski poziom umysłowości tak współpracowników Opiekuna, jak też i na nieudolność, namiętność, nietaktowność jego redakcyi.

Nam znowu czytając owe zarzuty, przypomina się również stara a prawdziwa maksyma; „prawda w oczy kole". — Nie jesteśmy Opiekunami sprawy postępu, jak to Izraelita łaskawie utrzymuje, ale małą cząstką wielkiego zbiorowiska ogółu, który o tej sprawie pamięta i pracuje dla niej. Nie jesteśmy również napastnikami, nie rzucamy opinii publicznej złośliwości — o nienawiściach zapomnieliśmy od dawna. Jeżeli w obec ciężkich warunków naszego bytu podnosimy głos boleści i skargi, jeżeli widząc zło społeczne wołamy o jego poprawę, jeżeli słowo gorzkiego wyrzutu mamy dla tych, co na tę gorycz zasługują toć przyzna nam Izraelita, że ucisnionym wolno się bronić. Dajmy na to że korespondent z Siedlec przyjmując z oklaskiem wyrok sprawiedliwości, postąpił sobie w spo-

da na ruń zieloną, wsiąka w grunt uprawny, odwilża nawet pnie, zimny kamień, twardą opokę.

Jak w podoranej roli, tak i w społeczeństwa łonie, odbywa się pewna fermentacyja, pewien rozkład dobry a pożyteczny dla przyszłej siejby.

Pień suchy spruchnieje prędzej czy później, opoka wiekami się rozkruszy, głaz rozbije ciężkie koło dziejowego rydwanu. Ale nie o kamieniach tu mowa, przemawiamy do umysłów i serc.

Podnosimy wciąż sprawy miasta i zaradzamy skutecznie tym sprawom, dla prowincyi jednak mamy albo słówko ubolewania, albo ogniste przemowy, albo jakieś ogólnikowe rady i nic więcej. A zmierzmyno okiem obszary tej prowincyi, porachujmy jej ludność, przekonamy się wtedy, gdzie skierować siły potrzeba.

Karczma, lichwiarz, brak handlowej konkurencyi, najfatalniejsze warunki kupna i sprzedaży, brak kredytu dla rolników, najnierozumniejsze w świecie pojmowanie kwestyj owego kredytu i jego prawdziwej użyteczności, oto szereg zadań, któreby należało przeprowadzić.

Domów komisowych ani śladu, każdy sprowadza narzędzia, nasiona, gips, mączkę kościaną i t. d. na swoję rękę i przepłaca owo sprowadzenie.

Do przemysłu jakiegokolwiek nikt się brać nie chce, woli odcinać kupony, wypożyczać na podejrzanej uczciwości procencik, lub zakupywać przed czasem żniwa o wiele taniej, bo na tym handelku można zarobić 50% rocznie.

Jednym słowem dzieje się źle. Słyszeliśmy o projekcie nowego banku dla rolników, kiedy on przyjdzie do skutku niewiadomo.

Podobnoć upadł, dzięki zabiegom tych, co tunikę poświęcenia dla dobra ogółu na dwu ramionach noszą.

Ponieważ miasta spożywają i przerabiają to co wieś produkuje, ponieważ w tych miastach są obecnie większe kapitały niż na wsi, ponieważ nareszcie miasta stanęły na wyżynie obecnej dziejowej działalności, do miast należy podać rękę wsi i wydźwignąć ją z krytycznego położenia. Skoro porządnie wypracowane projekta ukażą się, skoro na czele instytucyj staną ludzie fachowi, a następnie zawezwą do współzawodnictwa rolników, to zamożniejsi i nawet wcale dobrze mający się właściciele ziemscy, zostaną niejako zmuszeni do czynnego przyłożenia ręki. Próbójcie więc wy wszyscy co kochacie ogół i wierzycie w jego losy przyszłe, pokażcie jako nie stanowicie pewnej klasy społecznej, lecz zastęp obywatelskiej drużyny. Zróbcie krok pierwszy do zespolenia interesów wsi i miasta, a pomnijcie, że ów interes to najpotężniejszy węzeł, najsilniejsza spojnia tak jednostek jak ludów całych. Dają się słyszeć głosy, że prowincyja żyć poczyna, że na jej tle jawią się nowe nieznane światełka. Nie gaśmy ich, ale podsycajmy palnym materyjałem. Niechaj ci, co na nas dziś patrzą, chcemy rzeknąć więcej, co myślą z nami, podążą oparci na sumieniu naszym w drogę zawodów, ale we wspólnych trudów drogę.

Nie uchylajmy się od poświęceń, jeżeli one celowe, jeżeli rezultatów pomyślnych są zapowiedzią. Niechaj nas nie rozdziela duch zawiści, bo on jak demon śmierci, jak wiedźma zguby, piekielny zawiedzie taniec na naszych mogiłach, zgrzytem szyderstwa przyszłość powita.

Nieśmy pieniądz i zdolności na ołtarz ofiarny, podnośmy tych co upadają, naprowadzajmy na tór prawdy zbłąkanych...

Wspólnemi siłami zagrodźmy drogę wydzierczej lichwie, co szpon skorpiona zatapia w pierś dobrobytu, zgotujmy kredyt ziemi co nas żywi, porwijmy sieć zgubną co nas oplata. Niechaj ta część społeczności naszej, co myśleć umie, co pracować umie, nie uchyla się od trudów. Gdziekolwiek jest, niech działa.

Śród tłumu anachoretów są źrenice bystro patrzące, niechajże one nie prześpią brzasku przedświtów... bo inaczej, biada im i hańba im! Już nie raz wołaliśmy o zaradzenie tak ważnym sprawom, dotąd nie widzimy skutków.

Czyż prowincyja zawsze ma pozostawać bierną, czyż nie potrafi przynajmniej wypowiedzieć tego co jej brakuje? Wszakże i ona myśli o jutrze, wszakże i ona w sprawach ogółu, w swoich sprawach głos zabrać powinna. Czekamy na głos ten, aby go przedstawić sądowi opinii zbiorowej. Skutki pokażą, jako nie jesteśmy ludźmi słowa, lecz czynu, że miłość ogółu nie frazesem, ale treścią naszego życia.

Czy miasta i prowincyja umieją postawić kwestyję w ten sposób, zobaczymy...

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

Było to w drugiéj połowie sierpnia—złociste łany zboża znikły pod ręką pracowitych żniwiarzy; — tylko zielone dywany łąk urozmaicały widok, ożywiały koloryt jednostajny ogołoconych pól. Cisza głęboka razem z mrokiem ogarniała ziemię; — czasem dolatywały dźwięki dalekiéj piosenki wieśniaczéj, tęsknéj, marzącéj... Emanuel czuł wpływ téj spokojności natury i, oparłszy głowę o poduszkę powozu, milczał zapatrzony, zasłuchany.

Hrabia Władysław śledził go uważnie; wreszcie rzekł:

— Założyłbym się, że pan marzysz — o czymś bardzo miłym dla duszy.

— Prawda panie hrabio!—odparł uśmiechając się.

— Jest to może niedelikatnie z méj strony — ale powiem zawsze moje przypuszczenie:—pan myślałeś o kobiecie!

— Tak!.. nie zaprzeczam wcale!..

— Można poznać! Rysy pana przybrały wyraz tkliwéj łagodności! Ale stąd wniosek, że się pan kochasz?..

— Kocham! — wyrzekł pewnym; harmonijnym głosem.

— Od jak dawna?.. jeśli wolno wiedzieć?

— Od trzech lat!

— Kogo pan zna z imieniem Beaty? — spytał nagle, niby z niechcenia hrabia.

— Młodą osobę—piękną, wykształconą—ale ubogą.

— Nazwiskiem?

— Nie ma ani nazwiska, ani rodziców!

— Jakto? — nie może być?.. zawołał hrabia.

— Tak jest—rzekł Emanuel.

— Czymże się zajmuje?

— Robi cacka, rzeźbi, — ma stąd utrzymanie!

— Pracą rąk swoich!—i młoda?—i ładna?

— Lat ośmnaście, —bardzo piękna!

---

sób dla Izraelity nieprzyjemny—dajmy na to że artykuły: „Nasza niezaradność w obec sprytu żydowskiego", „Zysk i Oszukaństwo" również przyjemnemi dla pewnej cząstki naszego społeczeństwa nie były. Czyż to jednak może czy powinno nas powstrzymywać od mówienia prawdy w oczy. Złe zakorzeniło się zbyt głęboko, rozsiadło tak wszechwładnie, że kto go śmie poruszyć, kto wyciągnie dłoń aby pochwycić i wyrwać część tego chwastu, na głowę swoję sprowadza gromy. My nie potępiamy ogółu żydów, nie chcemy z nich zbierać wzorków dla szykany i szyderstwa, dla nienawiści kastowych. To by nas poniżało w obec sumienia naszego, w obec sądu ogółu którego jesteśmy sługami. Ale przyzna Izraelita że owe jednostki źle czyniące, że egoizm i chęć nieprawych zysków zbyt są liczne, zbyt wydatne i szkodliwe aby je pomijać milczeniem. Nie chcemy tworzyć kroniki skandalów, choćby nam faktów i materyjału do niej nie zbrakło. Chora owca zaraża całe stado, owiec tych wiele—cóż dziwnego że śród falangi wyzyskiwaczy giną najzacniejsze chęci najlepsze zamysły, śród naszych żydów obywateli powstałe?.. Nie myślimy polemizować w kwestyi krzywoprzysięstwa, czy chrześcijanie czy żydzi są moralniejsi, rzetelniejsi, uczciwsi to chyba rozstrzygają tylko statystyczne cyfry. Izraelita mógłby ciągnąć wodę na swoje kółko, my na swoje—a na tego rodzaju zajęcia brakuje nam czasu i chęci; śmiesznym się wydaje również szukanie nieprzyjaznego usposobienia dla żydów w religijnym uprzedzeniu—chyba Izraelita tego do nas stosować nie raczy.

Że żydzi uparcie trzymają się swojej tradycyi, wiemy o tym zbyt dobrze, że w tej tradycyi jest mowa o rzetelności, w zeznaniach i przysięgach; uczy nas łaskawie Izraelita, cytując przykazanie Boskie, słowa talmudu i zdanie Majmonidesa autora: „Iad hachazaka".

Gdyby Izraelita zacytował jeszcze owe proste słowa: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego" wprawdzie nie z gorejącego krzaku, ale z ust Chrystusa wyjęte, gdyby w piersi tego co pisał: „Krzywoprzysięstwo u żydów" tlała nie chęć odwetu, ale iskra miłości synowskiej dla ziemi co go wykarmiła i wychowała, toby innym okiem patrzył na kwestyją nie żydowską ale społeczną, toby nie zarzucał nam że: „nosimy na oczach szkło potworne wyszlifowane uprzedzeniem". Mniéj egoizmu, szanowni panowie, mniéj rozsądku i sprytu a więcej dobréj woli, ciepłego serca. W tenczas Opiekun nie polemizował by z Izraelitą — kwestyja żydowska stałaby się kwestyją obywatelską, sprawą dla której pracowali by wszyscy, a o krzywoprzysięstwach, lichwie, oszukaństwie, Chrześcijanizmie iTalmudzie nie byłoby mowy.

„Nienawiść szyki łamie" woła Izraelita, my cierpim judeofabiją — która wywołuje aż kruszenie kopii naszych przeciwników.—Za co i o co.—Czy to jest walka o byt, czy turnieje na arenie przekonań? Nie—to tylko zwada o monopol... bój o gienezę dzisiejszego życia... o grosze. Z zapału walki miarkujemy że sprawa jest ważną.

Żądają od nas łagodności.. ugrzecznienia, wyrafinowanych słówek. Nie zawsze tylko kłaniać i uśmiechać się można.

Łączy nas ziemia jedna i ideja jedna, w sprawie ogółu słowo tak potępienia jak pochwały istnieje nie dla kast pewnych i klas pewnych ale dla tych wszystkich co się obywatelami społeczeństwa zowią.

Sądzimy że Izraelita zdanie nasze podziela w tym razie.

* *
*

Zmarły niedawno w Warszawie, bankier Majer Bersohn, znaczną część ze swego mienia przeznaczył na cele dobroczynne: Rs. 50,000 zapisał na urządzenie szpitala dla dzieci żydowskich; procent od rs. 6,000 przeznaczył w części dla szpitala starozakonnych, dla

— Ha! to dziwne!—Beata! mówił zamyślony hrabia.

— Alež to nie nią jesteś pan zajęty?—zapytał znowu.

— Jestem jéj narzeczonym!

— Co?.. co?.. ona już rozporządziła swą ręką?

— Tak panie hrabio! — odparł Emanuel zimno.

— A! Szczerze winszuję wszelkich pomyślności! Państwo pewno korespondujecie ze sobą?

— Nawet często—pocieszamy się chociaż listowną wymianą myśli.

— Ah!—to bardzo dobrze! — powiedział hrabia Władysław—i jakby go już ten temat znudził, przestał mówić, za to myślał wiele, jak się zdawało po często zmieniającym się wyrazie twarzy.

Ciemno już było gdy powrócili—Elodyja wyszła na ich spotkanie przed ganek pałacu. Wbrew zwyczajowi, hrabia poprzestał tylko na uściśnieniu podanéj mu rączki i przeszedł roztargniony. Z kolei, rączka ta dotknęła dłoni Emanuela, który mimowolnie zadrżał pod tym ujęciem miękkim i ciepłym, drobnych różowych paluszków. Wieczór był cudowny: księżyc srebrzystym blaskiem rzucił na roztaczający się w koło pałacu ogród, niby mgłą świetlaną, wśród któréj fantastyczne cienie drzew olbrzymich formowały dziwne figury, niby ciemne widma nieruchome i groźne, których kształty, ukryte pod zasłoną nieprzejrzaną, rysowały się w wyobraźni rozbujałéj cichością i nocą. Lekki wietrzyk przebiegał czasem, szemrząc na wyścigi z strumykiem, przepływającym gaje, który zdawał się szeptać nieprzerwanie nadbrzeżnym kalinom i wierzbom jakieś miłosne dzieje,—a te, niby drażniąc się ze swawolnikiem, potrząsały zroszonemi listkami i odpowiadały cichutkim śmieszkiem pustoty. Więc strumyk żwawiéj podskoczył po kamykach i odwdzięczył się stłumionym chichotem. Zdala żałośny dyjalog, nigdy niepocieszonych żab, mięszał się z gwarem śpiewki polnych koników. Lecz na łące odezwał się świst ponury:—to zacny domator żółw—okazywał swoje niezadowolnienie, że mu hałaśliwa zgraja nie pozwala zasypiać spokojnie. I nastała chwilowa cisza. Mglisty obłoczek przepłynął po niebie, zasłonił księżyc i zniknął bez śladu, utonął gdzieś w przestrzeni. Jasna gwiazda zabłysła nadzwyczajnym blaskiem, zachwiała się i zgasła spadając.

Elodyja, siedząc na balkonie, ścigała tęsknemi oczyma niebo zasiane mirjadami światów — i ziemię tak piękną, tak powabną w swoim śnie lekkim jak młodéj dziewicy. Naprzeciw hrabiny stał Emanuel milczący, zadumany. W głębi siedział Władysław, paląc cygaro i kołysząc się niedbale na krześle. Uroczystą ciszę przerwało wejście służby z przyborami do herbaty, którą według życzenia Elodyi miano pić na balkonie. Duża, matowo lampa, oświeciła zgromadzenie; hrabia spojrzał na żonę i nagle się zadziwił:

— Tyś płakała? ty płaczesz Djola? cóż ci to?

Emanuel skierował machinalnie wzrok i ujrzał przejrzyste płynne dyjamenty, spadające z jedwabistych rzęs młodéj kobiety—oczami powtórzył zapytanie hrabiego.

— Nic mi nie jest!—odparła Elodyja z niezwykłą łagodnością — czytałam przed chwilą smutną historyją — *Jocelyna* dodała podnosząc załzawione oczy ku księciu-bibljotekarzowi — i rozrzewniła mię. A teraz ta noc, taka piękna, cicha—uprzytomniła mi dopiero czytane szczegóły pierwszych strof poematu, i — i nie mogłam oprzeć się wzruszeniu!...

— No! widzisz pan jakie to jeszcze dziecko! nie dawajże jéj pan takich książek, bo będzie nad każdą, łez wylewała potoki!—rzekł niecierpliwie hrabia.

Elodyja otarła łzy chusteczką — ale nie zmieniła wyrazu nieopisanéj tkliwości i miękkiego rozrzewnienia. Z rozpromienionym licem, które rozjaśniały jakieś blaski gorące, jak łuna różowa, pochyliła się nad przyborami do robienia herbaty i z nieporównanym wdziękiem zabrała się do nalewania i naparzania; odrzuciwszy pomoc sługi.

— Mój Boże! — pomyślał Emanuel, bezwiednie śledząc tę postać tak wdzięczną, nikłą, wiotką—jakiż to skarb rodzimego złota mieści się w téj duszy dziecięcéj prawie— niestety! prawdopodobnie straconéj na wieki! Wyraźna zmiana zaszła w postępowaniu Djoli z Emanuelem: z lękliwą trochę uległością mówiła według jego tajemnego życzenia, spokojnie i poważnie nawet. Oczy jéj—z nieśmiałym zachwytem wznosiły się ku niemu— zapominała minek i kaprysów.

— Zaprzestała próżnéj kokieteryi nawpół naiwnéj! — pomyślał Emanuel— i z większą serdecznością odpowiadał na jéj słowa delikatne i tkliwe niemal.

Następnego dnia, Emanuel ciągle siedział w biblijotece—obiad według przyjętego zwyczaju przysłano mu do jego mieszkania; nie widział więc wcale hrabiego ani Elodyi. Dopiéro wieczór przyszedł lokaj prosząc go do pałacu.

Idąc ujrzał hrabiego Władysława na balkonie — jak wczoraj — pośpieszył tam, lecz wpierw musiał przejść wszystkie pokoje. Na wschodach spotkał Elodyją.

Białe muśliny owijały jéj śliczną, pełną gracyi postać—włosy rozpuszczone przytrzymywała wstążka niebieska—była bledziuchną dzisiaj i jakby smutną.

— Czy pan uwierzy, że ja płakałam noc całą nad losami Jocelyn'a i Laurencyi?.. zaczęła idąc z nim razem.

— To bardzo źle! Przykro mi że dałem do tego powód! odparł Emanuel patrząc na nią z współczuciem.

— Ah! ja panu dziękuję!.. Ale—Ja wielbię, podziwiam Jocelyn'a, lecz *rozumiem* tylko Laurencyją! Dans les autres — c'est lui que j'aimais!..—zawołała z zachwytem.

— Może ona kocha kogo?.. biedne dziecko!—pomyślał Emanuel.

— Ideałem godnym w całéj rozciągłości typu, naśladowania — jest tylko Jocelyn — rzekł głośno.

— I—i pan byś tak postąpił jak on?..

— Bez wahania! pani!

— I bez bólu może?.. pytała tonem skargi jakiejś.

— Dla czego takie mniemanie? — rzekł zdziwiony.

— Zdaje mi się—że pan jest bardzo zimny z natury—zimny jak biały marmur posągu!..

— Oh! nie!.. nie!.. — zaprzeczył mimowolnie.

— Ja niestety!—zawołała nagle ożywiona Elodyja — jestem wprost przeciwnego usposobienia!.. Jedna chwila to dosyć — aby moje serce uczuło gwałtowne wrażenie, przez to cierpię — szarpię się — nie umiem panować nad uczuciem i wrażeniami — nie rozważam nigdy!.. Nie potrafię nawet ukryć co się w méj duszy dzieje, choć zawsze — prześladowali mię tym: Matka, guwernantki, Władysław... mówią, że to bardzo śmieszne, i oznacza złe wychowanie!..

---

instytutu głuchoniemych, na odzież dla biednych, i t. d.; procent od rs. 3,000 zapisał w jednym roku na wsparcie dla niezamożnego studenta, w drugim na wsparcie podupadłego kupca, a w trzecim na wyposażenie panny biednej — izraelitki; rs. 3,000 na budowę nowej synagogi: rs. 1,000 na rzecz Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności i rs. 1,000 na rzecz ubogich w osadach Grojec i Warki, i t. d. Wogóle legata wynoszą 71,110 rs.

Oby liczba podobnie myślących bogaczy coraz bardziej wzrastała.

* *
*

W roku bieżącym mają rozpocząć u nas budowę dwu linii kolei żelaznych stanowiących jedną całość, mianowicie: jednéj z Mławy do Warszawy, która będzie przedłużeniem budującej się obecnie kolei Gdańsko-Mławskiej,— i drugiej z Warszawy przez Lublin i Uściług do kolei Brzesko-Kijowskiej. Obie te linije stanowić będą najkrótszą drogę do zbliżenia morza Czarnego z Baltyckim. Przytym nadmienić wypada, że wybudowanie kolei przechodzącej przez Lublin i gubernią lubelską, ułatwi właścicielom ziemskim tych okolic utrudniony obecnie z powodu braku dobrych dróg wywóz produktów rolniczych i podniesie znakomicie cenę ziemi.

* *
*

W Nowej Aleksandryi (w Puławach) zakłada się znowu fabryka mączki kartoflanej, mająca przerobić rocznie od 300 do 400 tysięcy korcy kartofli. Właścicielem fabyki będzie p. Udo Lenneep.

* *
*

Petersburskie Towarzystwo handlowo-przemysłowe otworzyło w Warszawie agencyją której czynności rozciągać się mają na Warszawę, całe Królestwo Polskie, Galicyją i ks. Poznańskie. Towarzystwo to utrzymywać będzie w Petersburgu i w Moskwie nieustające wystawy płodów przemysłowych, fabrycznych i rękodzielniczych, oraz wszelkich przedmiotów w związku z ich produkcyją będących. Ajentura warszawska ułatwiać będzie producentom naszym przesyłanie swoich wyrobów na wystawę do Petersburga lub Moskwy. Okoliczność ta jest bardzo wielkiej wagi, albowiem posłużyć może za środek do rozszerzenia naszego handlu wywozowego do Cesarstwa. Dla tego też zwracamy na to uwagę przemysłowców, fabrykantów i rzemieślników naszych i radzimy korzystać z nadarzającéj się sposobności. Towarzystwo pobierać będzie umiarkowaną opłatę za miejsce na umieszczenie nadesłanych okazów.

* *
*

Odczyty pp. Makowieckiego i Wiślickiego drukowane w Gazecie Przemysłowo-Rzemieślniczej, wyjdą w oddzielnych odbitkach i sprzedawane będą po kop. 5.

* *
*

Nezależnie od seryi odczytów ludowych, w zeszłą sobotę w sali Resursy Obywatelskiej odbyła się prelekcyja Julijana Ochorowicza członka naszej Redakcyi. „O *kształceniu własnego charakteru.*“ Było osób 1500. Odczyt ten drukować będziemy w Opiekunie zacząwszy od przyszłego numeru.

* *
*

Na piątym odczycie popularnym (J. M. Kamińskiego) w teatrze Rappo było osób 650. Powodzenie odczytów bynajmniej nie słabnie, gdyż bilety już we Czwartek rozkupione zostały. Następny odczyt mieć będzie w Niedzielę p. Filip Sulimierski. „O różnych plemionach ludzkich” z odpowiedniemi okazami.

— Biedna pani!.. powiedział Emanuel z serdeczną sympatyją.

— Bardzo biedna!.. szepnęła opuszczając główkę na piersi, jak kwiatek obciążony rosą.

Stanęli u drzwi balkonu — stąd dała się słyszeć aryjka *de la belle Helène* nucona przez hrabiego.

— Już drugi dzień wyglądasz mi pani coś mglisto! zawołał wyciągając ręce do żony. Czy znowu książka?

— Dobry wieczór panie hrabio!—odezwał się Emanuel.

— Ah! bonjour!—mon prince!—odpowiedział nagle zachmurzony. Hrabino Elodyjo! musimy dziś pomówić o tualecie twojéj! Bal za dni dziesięć!

— Zostaw to staraniom panny Bertel.

— Nie! Chcę żebyś była piękną. Pierwszy raz cię pokażę naszemu światu—musisz przewyższać wszystkie panie strojem i urodą. Naszyjnik przywiezie Gucio — pyszne w nim będą brylanty! Nasze kobietki pożółkną z zazdrości!

— Nie włożę go!

— Va! va! petite mignonne! Ale suknia musi być odpowiednia!

I hrabia Władysław, z nieustraszoną werwą począł robić różne malownicze opisy tualet, jakie widział—na balach i rautach—okazując w tym głęboką znajomość. Był niewyczerpanym w tym przedmiocie, opowiadania urozmaicał anegdotkami — i cały wieczór upłynął na takiéj zabawie. Elodyja rumieniła się, bladła — gniewała—nic nie pomogło! Emanuel naturalnie mówił mało—ale czasem zręcznym słowem, pomógł Elodyi w jéj zakłopotaniu, na dwuznaczniki i żarty Władysława. O jedenastéj, pożegnał ich — i rozeszli się wszyscy zapewne zmęczeni. Hrabia zemścił się za wczorajszą rozprawę, która go nudziła. Potrafił ich zmusić do zajęcia się swoim ulubionym tematem.

Elodyja podając rękę Emanuelowi, wymownym spojrzeniem przeprosiła go, za taki wieczór—i poskarżyła się za siebie. Zrozumiał dobrze wyraz tych szafirów w oprawie dyjamentowéj — i choć potym nie był z siebie zadowolniony — odpłacił jéj jednak uśmiechem. A uśmiech ślicznie zdobił jego twarz młodzieńczą!.. *(C. d. n.)*

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

II.

Adam Pług.

(Dokończenie).

Sielski wieszcz-socyjalista, jakkolwiek uważa uczucie za piérwszy czynnik w procesie tworzenia, zna przecię swe szlacheckie społeczeństwo we wszystkich jego najciekawszych *typach—przedstawicielach*, a posiadając, w dość wysokim stopniu zdolność *plastycznego odtwarzania*, rzeźbi *charaktery ujemne* (o ile je rozpoznać jest w stanie) z korzyścią dla satyrycznej płodów swoich tendencyi.

Szczerym też poklaskiem uznania każdy miłośnik *prawdy w literaturze* powita pękatą, tępą figurę podsędka Zdzierkowskiego („Duch i krew"), owego *„libcryjalisty"*, który, trzymając się zdala od kollokatorów, i piorunując *zaocznie* na arystokratów, okłada kijem swego lokaja za to, że ten zuchwały z psem na pożywienie ośmielił się pomieniać. Pani prezesowa w „Oficyjaliście", ta *druga potęga* chorążyny z „Ducha i krwi, odzywa się do nas żywym słowem, giestem, czynem, przedstawiając z żywego wzoru odtworzony organizm, nabrzmiały dziedziczną chorobą wypieszczonej pychy, a jej powiernica Jarmusia —to wykończony typ *przebiegłej dworki*, wychowanej na wieczną niewolę w stęchłej atmosferze przedpokoju i garderoby. Niemały też zaszczyt przynoszą naszemu poecie, wyrzeźbione w szkicowych konturach, postaci szaraczkowej szlachty, oraz sylwetki dziedziców i plenipotentów z „Oficyjalisty".

W malowaniu *dodatnich charakterów* mniej jest szczęśliwym nasz powieściopisarz. Gorąca *miłość dobra* i *serdeczne wyróżnienie* barwą obłoków zasłania lica tych bohaterów, którzy *pozytywnie* w imię zasad swego twórcy przemawiać mają. Pośród zgrupowanych wybrańców, tłomaczów myśli poety w społecznym dramacie trudno nam dopytać się w tej lub owej, wybranej jednostce odmiennych rysów. Wszystko *po prawicy* zlewa się tam w kulistą formę błękitnego nimbu, jak pojedyńcze części pomysłu malarza na religijnych obrazach, wystawiających Przenajświętszą Rodzinę lub wniebowzięcie Madonny. Zygmunt Widzki, ów tytuł uświęconych myśli, ów sobowtór samego poety, różni się od innych współuczestników apostolskiego trudu jedynie grubszym nałożeniem błękitnych i złotych farb, a pośród całego grona dodatnich działaczy w „Oficyjaliście" jeden tylko może ksiądz Anastazy odbija od jednostajnego tła, dzięki połączeniu w nim z urzędowym fundamentem dodatnich charakterów, odcieniowi serdecznej rubaszności. Ta sama cecha odróżnia także nieco śród właściwego *nieba ideałów* i siostrę księdza Wikarego w powieści „Duch i krew".

Wszystkich *zwycięskich* bohaterów Pługa można *jakby jednego* określić. Łzawa, przeważnie bierna miłość chrześcijańska, a stąd—pobożność i napół-lękliwe apostolstwo ku przywróceniu równości między ludźmi i zniesieniu kastowej niewoli *po duchu i ciele*, chorobliwa czułostkowość w stosunkach rodzinnych, a nad tym wszystkim, jako najwyższy wyraz zaklęcia „duch poświęcenia i ofiary"—oto zbiór psychicznych składników, wypełniających główną osnowę idealnych jego postaci.

Zdolności więc *plastycznego odtwarzania*, jakkolwiek ograniczonej wogóle do *ujemnych charakterów*, niepodobna odmówić Pługowi. Zobaczmy teraz, jakiemi węzły spaja on te pierwiastki, jakich środków używa do wyświetlenia ich wartości w sytuacyjnej grze powieściowego wątku.

Gawęda zazwyczaj u Pługa zastępuje czyn; szerokie, kaznodziejskie nawiasy przerywają częstokroć opowiadanie w najdramatyczniejszym miejscu; osobista waga i wpływ jednych bohaterów na drugich ogranicza się prawie zawsze na zdawkowej monecie starego morału. Dość tu przypomnieć stosunek Szerepecińskiego do Maryjana, Bogumiła do rozdzielonej chłopo szlacheckiej drużyny sług, Zygmunta Widzkiego—do szaraczkowej szlachty, zebranej na kuflową naradę u Abrama w Raczkach. Dość zwrócić uwagę na brak chronologicznego porządku w przedstawianiu dziejów Oficyjalisty i jego rodziny, oraz na spóźnione objaśnienia, oddzielające częstokroć zbyt ostro i przydługo piérwsze zaznaczenie faktu od jego najbezpośredniejszych następstw, jak to ma miejsce np. w opowieści owej sceny w lesie, gdy autor, zameldowawszy niejasno sam wypadek, objaśnia potym szeroko i długo cały przebieg podstępnych knowań szafarki, a skończywszy, najspokojniej „powraca do gaju" dla dopowiedzenia prostego a nagłego w przebiegu swym faktu.

Gawędziarstwo wszakże w „Oficyjaliście, jako popularnym traktacie socyjalnym, jest o tyle niezbędne, o ile przeznie zyskuje na rozwinięciu prawda społeczna; przerwanie akcyi powieściowego dramatu wynagradza tam częstokroć praktyczna nauka w szkicach i obrazach. Jeżeli więc zaznaczamy wyraźniej tę ujemną stronę artyzmu Pługa, to czynimy to o tyle, o ile przez nią, niby przez szczelinę w budynku, nie przenika do nas promień, rozjaśniający tendencyją utworu.

Układ wypadków, zmieniających powieściowe dole, jest tu prawie zawsze oparty, na przypominającym niemowlęctwo sztuki, odwiecznym „deus ex machina". W wyszukanym, obfitym doborze tego rodzaju pospolitych, powieściowych wiązań, prastarych, pomocniczych dla *strudzonego* artysty ogniw i podstawek, celuje przed innemi płodami „Oficyjalista", utwór, któryby słusznie nazwać można było najlepszą z popularnych społecznych gawęd naszego pisarza, szacownym zbiorem udatnych sielskich portretów, lecz zarazem ze względu ne chwiejącą się i *łataną cudami* budowę—*jedną* z *najgorszych*, jeśli nie *najgorszą* jego *powieścią* [1]).

Dla usprawiedliwienia choć w części naszego sądu, który się może niejednemu z czytelników wyda zbyt jaskrawym, przedstawimy w kilku słowach jedną z *cudownych* tkanek (główną), składających się na osnowę powieści.

Zygmunt Widzki, po utracie mienia, na samym wstępie do wędrówki swej „za służbą", spotyka niespodzianie znajomego sobie od lat dziecinnych księdza, który wypłacając się jakoby z długu wdzięczności (zaciągniętego u ojca bohatera) wyciąga ku niemu życzliwą dłoń z pełnym trzosem; później „na służbie" tenże Widzki ocala życie swej prześladowczyni z narażeniem własnego; w trzecim zaś peryjodzie powieściowego swego żywota, śród ciemnej nocy, za przypadkowym zapaleniem słomianej pochodni (jakby za dotknięciem magicznej laski) spostrzega na drodze gruby ładunek bankowych biletów, a o kilka kroków dalej poszkodowanego w rozpaczy, który na widok znalezionych pieniędzy, pada trupem u stóp dobroczyńcy, a fakt ten odkrywa naszemu wybrańcowi szczęśliwą wyspę, istne w miniaturze Królestwo Boże na ziemi (włości Szczęsnopolskiego) a nadto opróżnioną przez tę szczególną śmierć—posadę plenipotenta rozległego majątku.

Moglibyśmy jeszcze więcej w samym Oficyjaliście naliczyć takich wypadków, o jakie w klechdach ludowych nie trudno, a które służą szczęśliwie Pługowi, w braku organicznych powieściowych węzłów do lutowania gawęd i przenoszenia z miejsca na miejsce działających postaci. Nie uważamy jednak za stosowne wchodzić w te i tym podobne szczegóły, mając na względzie zakreśloną zgóry szczupłość ram artykułu, w którym nam głównie chodzi o to, aby uchwycić zbiorowy ustrój pojedyńczych cech, podnoszących lub zniżających wewnętrzną pełność i zewnętrzne wykończenie dość licznych prac powieściopisarza.

Nic jeszcze dotąd nie wspominaliśmy o najzewnętrzniejszej, a przecie od całości budowy nieodłącznej szacie utworów Pługa—o sło-

---

[1]) *Najlepszą powieścią* Pługa jest, naszym zdaniem, „Duch i krew", najsłabszym zaś ze względu na wewnętrzną istotę utworem—„Piastunka" (1857), mimo że tok powieściowy jest w niej całkiem naturalny. Czytając tę powieściową próbę, należącą, ze względu na przedmiot do piérwszej ćwierci bieżącego stulecia, mimowolnie nasuwa się nam na uwagę, jako wybitna przeciwstawnia, o lat siedem wcześniej napisana, powieść Tad. Padalicy p. t. „Pokojówka". Przedmiot tej powieści należy już wprawdzie do drugiej ćwierci naszego wieku; lecz autor jest prawie współziomkiem Pługa, Ukraińcem, a tytułowa jej postać, podobnie jak w przytoczonej gawędzie autora „Duch i krew" zalicza się do służebnej, przydwornej klasy.—Pan A. P. przedstawił nam, jako nowy *ideał*—napiętnowane krańcową niewolą—pod mianem poświęcenia—służebnictwo; Tad. Padalica, pod gorszą nieco formą słowa,—żywą satyrę protekcyjnego stosunku pana do sługi. Tam, *dzięki przesadnemu uczuciu*, widzimy daleką od rzeczywistości, wstrętną apoteozę *chorobliwej cnoty*, tu dzięki *trzeźwemu rosądkowi*, rzeczywisty bez sztucznych obsłonek rys zła społecznego.

Powieść „Piastunka"—to blada nić wysnuta z „Dzieciobójcy" i niewyraźny kontur pozytywnych wymagalników „Oficyjalisty".

wie, o języku. Znawca języka Zygmuntowskiej epoki przyswoił sobie drobne piękności wierszów z doby pomickiewiczowskiej, a choć nie bogaty w artystyczne pomysły, umié pieścić czytelnika kwiatkiem, rosą, krajobrazem rodzinnej strzechy, umié go nawet do chwilowego pokochania swych powieściowych ulubieńców pobudzić. W mowie jego (w czym żaden może z żyjących współzawodników nie wytrzyma z nim porównania) nie znajdujemy obcych wyrazów ni cudzoziemskiej składni; wszędzie widnieje poprawność, wszędzie czystość kryształowa, i jeśli nie strojna w kwiaty, to szczera bez pretensyi prostota. Językowe te zalety uwydatnił on znakomicie nietylko w oryginalnych utworach, lecz także jako tłomacz Szekspira i Wiktora Hugo.

Streszczając to, cośmy dotąd o Pługu powiedzieli, wyznać z przyjemnością musimy, że powieściopisarz ten dalekim jest od uznawania teoryi *piękna dla piękna*, obcej wewnętrznym, żywotnym celom. Czysto uczuciowa tendencyja, gorąca chęć przyniesienia pożytku ogółowi tkwią w gruncie wszystkich, nawet najsłabszych prac jego. Z tego twórczego, psychicznego ogniska, które sprawiło iż Pług jest poetą, wynika co chwila blady promień, ograniczający sferę myśliciela — artysty. Leniwy bieg powieściowej akcyi, zbyt jasny koloryt zacierający rysy dodatnich charakterów, i wogóle *dogmatyzm*, zakładający częstokroć tamę rozwojowi artyzmu ponad zewnętrzną sztukę słowa i arabeski powieściowego krajobrazu — z tego a nie z innego pochodzą źródła.

A. G. Bem.

LISTY ZE STAREGO OBOZU

PRZEZ

Bolesława Prusa.

(Dalszy ciąg.)

(Franuś leży na łóżku i czyta książkę).

Ja. Dobry wieczór Franiu! W téj chwili odprowadziłem ojca panny Zofii.... (Franuś kładzie książkę)...... No! ale może ci przeszkadzam?

Franuś. O nie, nie.... owszem, owszem!..

Ja. Mówiliśmy trochę o tobie...

Franuś. Uuff!... (nakłada fajkę).

Ja. Trochę o pannie Zofii...

Franuś. Uuhum!... (zapala fajkę).

Ja. I gdybyś mnie nie wydał z sekretu, powiedziałbym, że radziliśmy również o waszym małżeństwie... (Franuś kręci się na łóżku). No! ale może ci przeszkadzam?...

Franuś. Owszem, owszem!... słucham, słucham!

Ja. Powiedziałbym ci nawet, że nie wiele do tego interesu brakuje (Franuś otacza się kłębami dymu) i że uzupełnienie braków zależy od ciebie...

Franuś (zrywa się). Odemnie?..

Ja. Tak jest. I gdybyś chciał rad moich posłuchać i pewne reformy w sposobie życia swego wprowadzić, może za parę miesięcy tańcowałbym na twym weselu (Franuś szybko chodzi po pokoju). Cała trudność zależy od spełnienia kilku kobiecych wymagań, zresztą bardzo słusznych.

Franuś. Owszem..... gotów jestem wiele ustępstw zrobić... słucham! słucham... wiem, że jesteś zawołany kobieciarz i że rady twoje pod tym względem są szacowne...

Ja (rumieniąc się). Zawsze uwielbiałem płeć piękną, ośmielam się nawet twierdzić, że spełnianie i uprzedzanie wszelkich życzeń damskich stanowi moję specyjalność...

Franuś. Otóż właśnie wiedziałem o tym i dla tego chętnie wypełnię wszystkie rady szanownego kuzyna. Słucham, słucham!...

Ja. Panna Zofija i jéj czcigodny ojciec uważają cię za człowieka uczciwego i rozumnego...

Franuś (rumieniąc się). Och!..

Ja. Zarzucają ci tylko parę błachostek, a przedewszystkim to, że mało dbasz o swoje gospodarstwo i mało zważasz na ludzi!...

Franuś (wzruszony). Nic nie rozumiem?...

Ja. Mało dbasz o siebie, ponieważ licho ubierasz się, nieporządnie mieszkasz, a przytym więcej wydajesz od innych. Nie zważasz na ludzi, ponieważ nie starasz się zbliżyć do nich i nie utrzymujesz z nimi dobrych stosunków.

Franuś (zdziwiony siada na łóżko). A cóż to szkodzi pannie Zofii że nie jestem elegantem?..

Ja. Nie chodzi tu o elegancyją, ale o porządek. Pomyśl sam, czy zrobiłoby ci to satysfakcyję, gdybyś zobaczył pannę Zofiję w zabłoconéj sukni i z roztarganą głową?..

Franuś (oburzony). Ach co za myśl... jakież porównanie!..

Ja. Porównanie bardzo dobre, bo czym jest dla ciebie zabłocona suknia na pannie Zofii, tym dla panny Zofii niewyczyszczony surdut na tobie... Daléj znowu, pomyśl czy mógłbyś pannę Zofiję, wyprowadziwszy ją z saloniku o froterowanéj posadzce, umytych oknach, wprowadzić tu, gdzie jest podłoga brudna, w oknach pajęczyna zamiast firanek, a zamiast krzeseł, kanap, fortepijanu, stoją obrzydliwe paki, brudny stół i stłuczona miska?

Franuś. No! ja przecież sam wiem o tym, że dla żony potrzeba innego mieszkania i innego ubrania,—że potrzeba sprzętów, gości i wieczorków... Ale dziś nie mam żony, nie ma więc racyi zaprowadzać zmian tak kosztownych.

Ja. A jeżeli panna Zofija bez tych zmian nie zechce wyjść za ciebie?

Franuś (wzruszony). A... a... jeżeli po tych zmianach nie zechce wyjść za mnie?..

Ja. Daję ci słowo że wyjdzie, tylko się zmień!...

Franuś (rozczulony ściska mnie za rękę). O kuzynie, Bóg... chciałem powiedzieć prawa natury... nie... chciałem powiedzieć szczęśliwy wypadek sprowadził cię do mnie... Rozporządzaj mną, zrobię wszystko... byleby można... (wzdycha). Dziwna rzecz, taka prosta i naturalna myśl nie przyszła mi do głowy!...

Ja. Czy jesteś gotów dziś nawet zacząć reformę?...

Franuś. Owszem!... owszem!...

Ja. Więc zacznijmy od przeliczenia twéj garderoby i bielizny?..

Franuś. No!... przecież ja nie jestem praczka... zresztą nie widzę gwałtownéj potrzeby, ponieważ wiem o wszystkim i bez rachunku...

Ja. Zobaczymy. Ile też masz sztuk ubrania?...

Franuś. Zaraz ci powiem... mam płaszcz, paleto... frak urzędowy...

Ja. A spodni, surdutów, kamizelek i butów?...

Franuś (namyśla się). Surdutów 4... nie... 3, bo jeden dałem Kacprowi. Spodni 5 par... nie 4 pary bo jedne dałem Kacprowi. No i 3 kamizelki...

Ja. Przeliczmy też.

Zaczyna szukać po kątach, liczyć i otóż pokazuje się, że Franuś ma 3 surduty, 3 pary spodni i 2 kamizelki!...

Ja. Więc spodnie i kamizelka zginęły?..

Franuś (zmięszany). Nie, to być nie może.. Tak, gdzieś się podziały... może wziął Kacper na parę godzin, bo on czasem miewa swoje dziwactwa.

Ja. Hum!.. no, a butów ile też masz?..

Franuś (myśli). Dwie pary?.. tak dwie pary,—jedną na nogach, drugą pod łóżkiem.

W istocie, na Franiowych nogach była jedna para butów, ale drugiéj ani pod łóżkiem, ani gdzieindziéj nie znaleźliśmy. Widocznie i buty wziął Kacper, miewający swoje dziwactwa.

Ja. A ile też masz sztuk bielizny?..

Franuś. Od roku mam wszystkiego po 12 sztuk! Oto jestem przynajmniéj spokojny, że mi nie zginie, bo bielizna zostaje pod opieką Doroty, kobiety rzadkiéj uczciwości... tak rzadkiéj!...

Liczymy bieliznę i okazuje się straszliwy bezład. Z 12 np. koszul zrobiło się tylko 5 w ciągu roku! a i z tych 5 dwie były cudze. Cóż mówić o chustkach, ręcznikach i t. d.? Franuś okazuje wielkie zdziwienie i trwogę.

Ja. Ot widzisz Franiu, ta krótka obserwacyja wykazała nam wiele ciekawych rzeczy. Naprzód że jesteś kompletnie ubogi, powtóre, że źle robiłeś nie dbając o swoje gospodarstwo i potrzecie, że masz w domu złodziei...

Franuś (zaperzony). Ależ zmiłuj się kuzynie, nie mów tak! Być może, że Kacper jest złodziéj, ale Dorota... nigdy!... to kobieta zacna, z głową i sercem...

Ja. Dość o niéj gadają na mieście i stary sam oburzał się na to, że ona ci pierze bieliznę. Nie zrozumiałem tego co mówił, ale teraz widzę jasno, że stary miał racyją, bo Dorota oszukuje cię...

Franuś (silnie zarumieniony zapewne z gniewu). Stary powiadasz? stary?... ojciec panny Zofii?.. Hum! trzeba służbę rozpędzić, ale bez dowodów?..

Ja. Dowody już miałeś licząc swój dobytek, mniejsza jednak o nie, ponieważ mogę dostarczyć ci nowych w ciągu tygodnia.

Franuś zgodził się na to, ja zaś począwszy od dnia następnego, starałem się dowodzić mu, że go lokaj okrada i tak:

Kuzyn nasz, jak ci mówiłem, nie zamykał ani cukru ani herbaty, ani tytoniu, ani pieniędzy. Codzień tedy liczyliśmy pieniądze ważyli cukier, tytoń i herbatę i przekonywaliśmy się, że codzień coś ubywa. Nadto jednego dnia na surducie Franciszka zrobiłem plamę kredą, plama ta w ciągu kilku dni na odzieży świeciła, a przecież Kacper twierdził, że czyści ubranie swego pana!.. Był to więc niedobry służący, jak się z experimentów okazało, wygnał go też Franio w kilka dni po naszej rozmowie i przyjął innego.

Trudniejszą była sprawa z Dorotą, któréj Franio zapewne przez szacunek dla płci białéj, lękał się robić wyrzutów o złodziejstwo. Codzień radziłem mu, aby z nią skończył, Franuś codzień wahał się i odkładał do jutra. Wreszcie, pewnego wieczora, gdy Dorota przyniosła kilka sztuk czystej bielizny, Franuś zdecydował się na stanowczą rozprawę. Nie lubię awantur w domu, wyniosłem się więc do miasta podczas téj uroczystéj chwili.

Konferencyja trwała blisko godzinę.

Kiedym wrócił, spotkałem Dorotę wychodzącą z naszego mieszkania, spojrzała na mnie płomiennym okiem, domyśliłem się zatym, że już wie kto jest przyczyną jéj upadku. Franciszka także zastałem niesłychanie zirytowanym; jego wzrok rzucał błyskawice, ręce mu drżały z gniewu.

— Na co się zdadzą uniesienia rzekłem, mogłeś jéj przecież to samo z zimną krwią powiedzieć. Cóż, jużeś się z nią obliczył?

— Tak... odpowiedział nasz kuzyn. Zirytowałem się trochę, mówiłem z nią dużo i bardzo energicznie, obiecałem, że na drugi raz wypędzę...

— Więc nie oddaliłeś jéj?..

— No!.. widzisz, biedna kobieta! Cóż będzie robić jeżeli jéj nagle wydrę ten oto lichy kawałek chleba?...

W milczeniu uścisnąłem rękę Franciszka.

To com słyszał, dowodziło niepraktyczności, dowodziło jednak i tego, że kuzyn nasz miał serce i umiał przebaczać wyrządzone sobie krzywdy.

— Piękne to jest coś zrobił, rzekłem, albowiem powiedziano: „odpuść nam winy, jako i my naszym winowajcom odpuszczamy“, nie zapominaj jednak, że gdy się ożenisz, nie będziesz mógł tak łagodnie postępować ze służbą.

— A tak!... jest racyja... mruknął Franuś z odcieniem goryczy i legł na łóżku. Ja zaś pomyślałem: Mój Boże! musi to być dobre owo małżeństwo kiedyś je postanowił, nie mniéj jednak zbliża ono człowieka bardziéj do ziemi i stłumia nie jedno szlachetne i bezinteresowne uniesienie. I czy taki Franciszek, ożeniwszy się, będzie mógł wspaniałomyślnie darować 9 zgubionych koszul?... O jakże szczęśliwy jestem, że będąc starym kawalerem nie potrzebuje w sobie hamować idealniejszych popędów serca!.. Zapomniałem ci dodać, że od rozmowy naszéj o żeniaczce—w usposobieniu, postępowaniu i otoczeniu Franusia poczęły się objawiać zmiany. Jakoś w tym czasie odebrał pensyją, kilku sumiennych wierzycieli odnieśli mu należne pieniądze, resztę odemnie wypożyczył i mając około 200 rs. w kieszeni przystąpił do oporządzenia się. Bogiem a prawdą, nie napotykał w tym razie wielkich trudności, bo np. stolarz i krawiec wziąwszy kilkadziesiąt rubli zaliczki, zakredytowali mu: jeden garnitur mebli, drugi dwa garnitury ubrania. Znalazło się i płótno i szwaczki na bieliznę, gospodarz przyciśnięty zgodził się odnowić mieszkanie i odnowił je rzeczywiście. Znalazły się i firanki w oknie i parę doniczek kwiatów i dywanik nad łóżkiem, serweta na stole i sukno na świeżo zafroterowanéj podłodze! Nowy też służący okazał się pilniejszym i uczciwszym od Kacpra, bo też i sam Franuś począł uważniéj i jego i siebie dozorować.

Często rozmawialiśmy wieczorami o wypadkach dnia całego, o ludziach, ich stosunkach, przymiotach i wadach; dyskursy te zbawiennie wpływały na Franciszka, który przypominał sobie nie jeden własny wybryk i odtąd pilniéj uważał na swoje postępowanie. To też zmieniał się szybko, prawie co dzień i godzinę; znać było wprawdzie w jego rozmowie, ubraniu, chodzeniu jakiś przymus i sztukę, które stopniowo zmniejszały się, lecz za to nie było już wybryków pochodzących z dziwactwa lub roztargnienia.

Ludzie, zwyczajnie jak ludzie, widząc te niemal cudowne zmiany w życiu naszego kuzyna, z początku śmiali się, potym dziwili, zawiązywali z Franusiem stosunki, oglądali jego mieszkanie i garderobę. Aż w końcu nadeszła oczekiwana przezemnie chwila i gruchnęło po mieście, że Franuś żeni się!..

Pogłoski te, rozumie się doszły do nas, doszły i do folwarku za Warszawską rogatką. Franuś od czasu arbuza nie składał wizyt pannie Zofii; uważałem jednak, że spotkawszy go na ulicy, w epoce reformy i pogłosek o których mówię, panna rumieniła się coraz częściéj i silniéj. Myślę tedy, dobry znak i znowu zetknąwszy się z jéj ojcem począłem opiniją staruszka w kwestyi małżeństwa sondować, ale stary nie w ciemię bity, zbył mnie krótko, mówiąc:

— Mój acan dobrodziéj wiem ja co się święci.

Widzę, że kuzyn twój za Bożą łaską i twoją pomocą poprawia się i porządkuje, znaczy więc, że już wszedł na dobrą drogę. Z tym wszystkim jednak powiem ci otwarcie, że dotąd nie obejrzę jego nowego mieszkania, dokąd w nim Dorota gospodarować będzie. Ot co jest!

Zgłupiałem na takie dictum, nie tajno mi było bowiem, że łagodny Franuś niezechce Doroty pozbawiać kawałka chleba. Mruknąwszy więc staremu ni to, ni owo—poszedłem smutny ku domowi, nic nie przeczuwając, że nowy, niepojęty kaprys naszego kuzyna jeszcze w tym dniu miał ostatnią usunąć przeszkodę do małżeństwa.

W drodze spotkaliśmy się z Franciszkiem, a że wieczór był ładny, pochodziliśmy trochę za miastem i około 9-éj już na dobre zawrócili do kwatery. *(d. c. n.)*

GAWĘDY o WYCHOWANIU

Henryka Wernica.

II.

Naukę spostrzegania uważamy za tak ważną, że jeszcze w niniejszym liście starać się będziemy bardziéj ją ugruntować i rozjaśnić.

Pierwszy Bakon zwrócił uwagę na konieczność używania własnego sądu za pośrednictwem własnych zmysłów—mówi on: ludzie powinni przez niejakiś czas wyzuć się ze swoich zapatrywań tak wyuczonych jak i w spadku otrzymanych, a jakby nowo-narodzone dzieci, powinni zwrócić się ku naturze i obserwować ją jasnemi swemi zmysłami. Badacz natury niech rozpocznie od jasnego spostrzegania zjawisk natury, a dopiero potym może się wznieść do poznania jej praw. W ten sposób trzeba się starać o przywrócenie bezpośredniego związku człowieka z naturą.

W XVII wieku żyjący Komenjusz czyli Komeński rodem z Moraw znany u nas jako biskup braci czeskich, pierwszy wprowadził a przynajmniej starał się wprowadzić do szkół naukę rzeczy, to jest naukę spostrzegania. Z początku ćwiczmy zmysły. Nauka powinna się rozpoczynać od spostrzeżeń rzeczowych, nie zaś od słownych opisów tych rzeczy. To co zmysłowo spostrzegamy najdłużéj trwa w naszej pamięci. W innym miejscu znów mówi: Czyż nie żyjemy podobnie jak i przodkowie nasi w ogrodzie natury, dla czegóżbyśmy nie mieli używać podobnie jak i oni własnych oczu, uszu i własnego nosa? dla czegóżbyśmy mieli poznawać dzieła natury za pośrednictwem innych nauczycieli, nie zaś naszych zmysłów. Dla czegóż zamiast patrzeć w martwe księgi, nie mielibyśmy patrzeć w żywą księgę natury, dla czegóż wolimy patrzeć raczej cudzemi oczami niż swojemi? Jednem słowem, trzeba ludzi o ile możności do tego doprowadzić, żeby czerpali swoję mądrość, nie z książek, lecz ze spostrzegania nieba i ziemi, dębów i buków, to znaczy, że powinni sami poznać rzeczy, nie zaś powtarzać cudze o nich spostrzeżenia i świadectwa. Powinniśmy stawiać przed zmysłami rzeczy, to jest, przed oczami—rzeczy widzialne, przed uszami—rzeczy słyszalne, przed nosem—posiadające woń, smakowi podawać rzeczy podlegające jego poznaniu, dotykaniu—rzeczy dotykalne. Początek wiedzy powinien wychodzić od zmysłów, nie zaś od słownego określenia rzeczy, lecz od spostrzegania samejże rzeczy. Helwecyjusz zaś mówi: człowiek nie rodzi się ani głupcem, ani mędrcem, lecz niewiedzącym. Błędna nauka czyni go pierwszym, a błędną jest każda opierająca się nie na własnym spostrzeżeniu, lecz na cudzym wmówieniu.

Komenjusz chcąc wprowadzić do szkół naukę spostrzegania, ułożył słynne w swoim czasie dzieło pod napisem: Orbis Pictus, zaopatrzone w ryciny, które miały zastąpić same rzeczy. Metoda jego długi czas się utrzymywała, a chociaż dziełko jego służące jednocześnie do nauki Łaciny, zastąpione zostało innemi, to zawsze ryciny grały w nich ważną rolę. Odnowicielem myśli Komenjusza był Pestalozzi, który odrzucił obrazy rzeczy i na samychże rzeczach, zalecał czynić spostrzeżenia. Zalecał zaś, żeby ćwiczenia spostrzegania zaczynać od rzeczy najbliższych. Że zaś najbliższym, jest same ciało dziecięcia, ćwiczenia więc te zaczynał od jego osoby. Znaczną część swego dzieła, wydanego w roku 1803, zapełnia spostrzeżeniami odbywanemi na ciele samego dziecka. Radzi, żeby matka już w drugim roku te ćwiczenia z dzieckiem odbywała. Nie zważa on, że tą zbytnią systematycznością znuży się tylko umysł dziecięcy i zniechęci się rozbudzająca w nim myśl. Dla umysłu dziecięcego to jest bliższym, co jest ciekawszym, a to ciekawszym, co nowszym, oto jest pierwsze prawo, a drugie—unikać pedantycznej systematyczności. Te prawa łatwo będą uwzględnione w pokoju dziecinnym przy nauczaniu wspólnym, jak naprzykład w szkole elementarnej gdzie większa może i powinna zachodzić systematyczność. Jakkolwiek ćwiczenia te, nazwane ćwiczeniami władzy spostrzegawczej, zdają się wyłącznie tyczyć samego zmysłu wzroku, to wszakże powinny być rozciągnięte i do innych zmysłów. Wszak już w potocznej mowie używamy często słowa patrzeć, zamiast słyszeć, wąchać zamiast dotykać. Powiadamy, patrz jak to pachnie, zamiast wąchaj jak to pachnie, patrz jak to szorstkie, zamiast dotknij się jak to szorstkie, stąd więc i ćwiczenia władzy spostrzegawczej do innych zmysłów rozciągnąć należy.

Właściwie mówiąc, nie są to ćwiczenia zmysłów, lecz ćwiczenia uwagi, bo skoro zajęci jesteśmy jaką ważną myślą, nie widzimy zjawiska, chociaż na nie patrzymy, tak jak nie słyszymy głosu osoby mówiącej, gdy nasza uwaga czym innym zajęta. Stopniowe więc wzmacnianie uwagi jest ostatecznym celem tych usiłowań; rozpocząć zaś je można już od najpierwszej młodości.

Wychowawcy rzeczą jest i powinno być, dostarczanie wychowańcowi przedmiotów do obserwacyi. Niech więcej drażni, pobudza do spostrzeżeń, a nie uprzedza siły spostrzegawczej swego wychowańca wypowiedzeniem swoich spostrzeżeń, bo takby go do nich zniechęcił, jak zniechęcają się dzieci wspólnie odbywające rachunki pamięciowe, jeśli jednemu z nich łatwiej przychodzą niż innym, i przestają wtedy ufać własnej sile.

Dziecię zachęcić potrzeba do czynienia spostrzeżeń, zainteresować do nich; a w miarę jak ujrzy, że i samo własnym rozumkiem rozróżnić rzeczy, opisać je i podobieństwo między najrozmaitszemi upatrzyć potrafi, nabierze większej do nich ochoty, toż samo bowiem prawo zachodzi w pracy umysłowej co i fizycznej. Dla czego dzieci daleko prędzej nauczą się jakiejkolwiek zręczności, czy to tańca, czy ślizgania się po lodzie? dla tej tylko prostej przyczyny, że nie obawiają się narazić na śmieszność z powodu upadku. Nie zrażajmy więc wychowańca naszym sarkazmem, choćby spostrzeżenia przez niego czynione były błędne, uznajmy jego słuszność pod pewnym względem, lecz zarazem pokażmy mu przedmiot jeszcze raz, aby sprostował na nim mylne swoje wyobrażenia. Wtedy pomału zacznie się wprawiać do prawdziwego spostrzegania. Ze strony przewodnika winny być czynione tylko pytania krótkie, zwięzłe, bez żadnych objaśnień, bo same rzeczy, wychowańca objaśniać powinny.

Mylnie niektórzy pedagogowie pojęli myśl Pestalozzego, stawiając w miejsce samychże rzeczy ich wyobrażenia, to jest ryciny. Jest to niedostateczny surrogat, który być może, że w wychowaniu szkolnym jest niezbędnym sprzętem dla rozwinięcia władzy spostrzegawczej. W wychowaniu zaś prywatnym, domowym, zawsze same rzeczy powinny stanowić główny przedmiot spostrzeżeń.

Francuzi również dobrze pojęli należycie

myśli Pestalozzego, i, sądząc z używanych tu i owdzie po szkołach elementarnych niemieckich rycin, służących do odbywania na nich spostrzeżeń, zwrócili się do samych rzeczy. Ryciny te przedstawiają tylko takie przedmioty, których w okolicy szkoły znaleźć nie można. W ochronkach francuskich są wprowadzone tak zwane *leçons des choses*, dziś zaś wprowadzono je i do szkół elementarnych.

Nauczyciel lub nauczycielka posiadają znaczny zbiór rozmaitych przedmiotów małej postaci, na których te lekcyje odbywają. I tak np. Pokazuje uczniom cztery gatunki mączki białej, jedna jest cukrem, druga mąką zwyczajną, trzecia gipsem, czwarta solą; z pozoru wszystkie do siebie podobne, smakiem łatwo odróżnić sól od cukru, trudniej gips od mąki—pokazuje następnie kłos, z którego powstały najużyteczniejsze z przedstawionych mączek, jeden kłos jest dojrzały, drugi jeszcze zielony, opowiada w jaki sposób uprawia się ziemia, ile to pracy i zachodu potrzeba zanim wzrośnie kłos—pokazuje w minijaturze bronę, pług, przypomina uczniom widok żniwa, młocki i nareszcie opisuje w krótkości młyn, w którym ziarna zbożowe umielone zostały na białą mąkę. Tak samo postępuje z cukrem, pokazuje trzcinę cukrową lub burak, z których cukier otrzymujemy.

Sposób ten postępowania nie jest bez korzyści, chociaż oprócz rzetelnego powiększenia zasobu wiadomości dziecka, nie kształci tak jego władzy rozumowej jak pierwszy, gdzie uczeń sam ciągle musi badać, gdyż mu się nastręczają coraz nowe pytania. Dzieci czyniące same spostrzeżenia, nigdy nie zachorują na półmędrkowstwo, kształcone zaś drugim sposobem, pewno tej wady nabędą, bo nauczą się powtarzać cudze zdania.

W wychowaniu domowym obie te metody można połączyć w jedno, bo czy to w domu, czy na przechadzce, tysiące nasuwa się przedmiotów, zdolnych rozwinąć siłę spostrzegawczą. Weźmy poprzedni przykład, jeśli wychowaniec ujrzy kłos i zapyta nas do czego on służy, nie tłómaczmy mu tego, opisując całe przemiany na chleb, lecz zaprowadźmy do stodoły, gdzie odbywa się młocka, następnie do młyna, aby sam ujrzał w jaki sposób przerabiają się ziarna na mąkę, dalej do piekarni, gdzie już z mąki wyrabiają smaczne bółki, które z takim apetytem spożywa. Zdarza się wszakże, że nie na wszystko podobnie odpowiedzieć możemy; jak np. gdyby się pytał będąc w owczarni na co zda się wełna owiec, wtedy o ile możności uzmysłowijmy mu całą tę czynność, choćby na podobnej czynności, jak np. pokażmy jak się płótno robi, aby miał należyte o tej czynności pojęcie, a przy zdarzonej okazyi nie zaniedbajmy wprowadzić go do fabryki sukna. W każdej okolicy, w każdym zakątku znajdzie się nie jeden rzemieślnik, którego czynność może przedstawiać bardzo korzystne ćwiczenie władzy spostrzegawczej; weźmy naprzykład garncarza. Z kupy bezkształnej gliny wyrabia on niemal w mgnieniu oka ładne garnuszki; czynność ta dziecko zainteresuje i zabawi, a co najważniejsza, pobudzi je do myślenia. Rozsądny i o prawdziwe dobro swego wychowańca dbały wychowawca, nie opuści żadnej okoliczności, aby podać mu sposobność do czynienia jasnych spostrzeżeń.



Historyja Literatury Polskiej, dla młodzieży przez D-ra *Karola Mecherzyńskiego* b. prof. w Uniwer. Jagiel. Kraków 1873, 8-o str. 407.

Przy uczeniu historyi literatury, dotkliwie czuć się daje brak odpowiedniego podręcznika. Z tych jakie mamy jedne są zbyt obszerne drugie za krótkie lub zlepione bez żadnej przewodniej myśli. Nauczyciel znajdzie wprawdzie dosyć źródeł do przygotowania swego kursu, ale sam wykład ustny nie wystarcza. Dla zatrzymania go w pamięci, uczniowie lub uczennice potrzebują mieć w ręku stosowną książkę, któraby była niejako streszczeniem wykładu. W obec braku stosownego podręcznika wielu uczących ucieka się do dyktowania. Ma to liczne niedogodności, a przedewszystkim zabiera czas, który z pożytkiem obrócićby można na ustne objaśnienia i czytanie wyjątków ze znakomitych autorów.

Prof. Mecherzyński wydając swą pracę miał na myśli zaradzenie brakowi o jakim mówiliśmy. Wychodząc z zasady, że książki zbyt obszerne przeciążają młody umysł, nie wprawny do ogarniania tłumnie nagromadzonych wiadomości, a z drugiej znowu strony zbyt krótkie i z konieczności oschłe podręczniki niczego nie nauczą, p. M. starał się o zachowanie średniej miary. Jak powiada w przedmowie, szło mu o skreślenie całości w niewielu ale głównych i mocno narysowanych obrazach, a mianowicie: wytłomaczenie ważniejszych epok przez stosowne choćby nieco obszerniejsze poglądy i wstawienie w ich ramy wybitniejszych postaci, to jest pisarzy najcelniejszych, którzy tych epok są wyobrazicielami. Dla tego postanowił opuścić bardzo wiele szczegółów, a nawet autorów dosć znacznych, aby zostawić miejsce jedynie dla *najznaczniejszych* dając ich za to poznać bliżej i obszerniej. Zasada jak widzimy zupełnie słuszna, szczegółów bowiem służących jedynie do wypełnienia obrazu, każdy potem w miarę potrzeby z łatwością się może douczyć.

Autor jeśli nie zupełnie to przynajmniej w znacznej części odpowiedział zamierzonemu zadaniu. Powiadamy „nie zupełnie" i stosujemy to przedewszystkim do ogólnych poglądów, którym pomimo ich wartości brak niekiedy ożywienia i silniejszej barwy, owego *mocnego zarysowania*, jakiego potrzebę, zwłaszcza dla młodych umysłów, sam autor uznaje. Toż samo da się zastosować do streszczenia i oceny niektórych pojedyńczych utworów. Pojmujemy trudności jakie autor mógł mieć tutaj do zwalczenia, podziwiamy nawet (niektórym tylko literatom właściwą) umiejętność, z jaką podawane są szczegóły, których rozszerzenie lub rozjaśnienie zależyć będzie od nauczyciela znającego umysłowy poziom i nastrój swego ucznia. Prócz tej oględności, przez którą książka p. M. staje się przystępną dla szerszego koła uczniów, za dodatnię jej stronę uważamy właściwe ustosunkowanie części, t. j. że epoki mniej budzące interesu traktowane są pobieżniej, przez co więcej zostaje miejsca dla okresów ważniejszych, a w szczególności dla XIX wieku. Żałować tylko przychodzi, że pominiętą została literatura bieżąca. Zgadzamy się z autorem, iż trudno jest mówić o pisarzach żyjących, którzy nie skończyli jeszcze swego zawodu, wszelako można ich było zaznaczyć objektywnie. Takie zakończenie kursu uważamy nawet za konieczne, gdyż tą tylko drogą wprowadza się uczniów we współczesny ruch piśmienniczy, od którego bądź co bądź zaczną lub zaczęli już swą lekturę. Zostawiając to dopełnienie, jak również rzecz o współczesnym *dziennikarstwie* ustnemu wykładowi nauczyciela, możemy w każdym razie zalecić książkę p. M. do domowego użytku, tym więcej, że prócz wyżej wymienionych zalet odznacza się prawdziwie uczciwą tendencyją i wolnemi od przesądów poglądami.

J. M. K.

ZAGADNIENIE.

Jak wysoki być powinien okrągły rezerwoar, aby mógł pomieścić w sobie 154,444 stóp 1,539 $^{81}/_{125}$ cal. sześć. wody, którego dno ma w średnicy 15 stóp? (w obliczeniu przyjąc Ludolf. 3,1416).

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Kapitanowi Sim... w Dynaburgu. Śpiewnik wyczerpany zupełnie, końcowy arkusz powieści „Szpieg Pruski" posyłamy—kupno warsztatu introligatorskiego możemy panu ułatwić.

Panu Bieńkowskiemu w Piotrkowie. Zużytkujemy, ale prosimy o trochę jeszcze cierpliwości.

Pani Izabelli Czeczel. Adres był mylny, obecnie wysłaliśmy wszystko przez Radziwiłłówkę w Czarnorudce.

Panu M. Remi... Bibljotekę wyślemy ale nieco później. Nr. 7 posyłamy.

Panu Piotrowi Ilnickiemu w Jarmolińcach. Szpiega Pruskiego i Dług Honorowy posyłamy należy się za to rs. 1. Żądane katalogi wyśle księgarnia Orgelbranda.

Studentowi Uniwersytetu. Dziękujemy za życzliwe uwagi i postaramy się z nich skorzystać.

Panu J. L. w Mławie. Dziękujemy za pamięć—i polecamy się względom na przyszłość.

Panu Tarnczuk w Tołoczynie. Wkrótce wyślemy.

Czytelni Akademickiej w Krakowie. Żądane numery wyczerpane.

Prenumeratorowi E. S. Podręczniki Aug. Jeskego są już wydane i mogą być nabyte w naszej Redakcyi. Cały komplet kosztuje Rs. 1 kop. 80.

Panu Stefan. Hulew... w Petersburgu. Wszystkie należne zeszyty Biblijoteki Pozytywnej wysłaliśmy w swoim czasie. Pomimo to, posyłamy powtórnie zeszytu 2-go egzem. dwa, 3-go i 4-go po jednym egzemplarzu.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawcy: HENRYK PERZYŃSKI. WACŁAW SZANIAWSKI. Redaktor, HENRYK PERZYŃSKI.